

**J'NELL CIESIELSKI**

**ŁODOWA**

**KSIĘŻNICZKA**

Przełożyła Ewa Ratajczyk

Powieść *Lodowa księżniczka* jest fikcją literacką. Postacie, miejsca i wydarzenia są wytworem wyobraźni i skutkiem zamysłu literackiego autorki. Jakikolwiek podobieństwo do prawdziwych wydarzeń, okoliczności czy osób, żywych lub nieżyjących, należy uważać za zbieg okoliczności.

Originally published under the title *The Ice Swan*

© 2021 by J'nell Ciesielski

All rights reserved

Published by arrangement with HarperCollins Christian Publishing, Inc

Copyright for this edition © Wydawnictwo WAM, 2022

Opieka redakcyjna: Agnieszka Ćwieląg-Pieculewicz

Redakcja: Anna Śledzikowska

Korekta: Maria Armatowa

Projekt okładki: Mariusz Banachowicz

Zdjęcie na okładce: © Master1305/Shutterstock

Skład: Lucyna Sterczewska

ISBN 978-83-277-3349-8

MANDO

ul. Kopernika 26 • 31-501 Kraków

tel. 12 62 93 200

[www.wydawnictwomando.pl](http://www.wydawnictwomando.pl)

DZIAŁ HANDLOWY

tel. 12 62 93 254-255 • faks 12 62 93 496

e-mail: [handel@wydawnictwomando.pl](mailto:handel@wydawnictwomando.pl)

Druk i oprawa: Read Me • Łódź

Publikację wydrukowano na papierze Ecco book cream 70 g vol. 2.0  
dostarczonym przez Antalis Poland Sp. z o.o.

# PROLOG

Październik 1917  
Piotrogród, Rosja

Noc płonęła czerwienią rewolucyjnych płomieni. Grzmiała hukiem wystrzałów. Eksplozją armat. Krzykiem ludzi. Bolszewicy ruszyli do śmiertelnego ataku, szerząc anarchię żelaznymi dłońmi.

Jej księżęca wysokość Swietłana Dalska pośpiesznie przemierzała korytarz Błękitnego Pałacu z walizką pakowaną w ostatnich tygodniach na wypadek, gdyby ten scenariusz się ziścił, nie wając się na zapalenie choćby jednej świecy, żeby nie przyciągnąć niczyjej uwagi. Odbijające się w niezliczonych oknach czerwone niebo zamieniało kotary, dywany i portrety przodków w plamy krwi. Swietłana wiedziała, że rewolucjoniści lada chwila staną w drzwiach i nie powstrzyma ich nawet oddział Białej Gwardii pod dowództwem jej ojca. Ich czas dobiegł końca.

Wsunęła się do tonącego w ciemności pokoju młodszej siostry i podeszła do łóżka. Delikatny płomień świecy na nocnym stoliku oświetlał słodką twarz pogrążonej w beztróskim śnie Mariny.

Swietłana postawiła walizkę i szarpnęła siostrę za ramię.

– Wstawaj. – Marina jęknęła i obróciła się na drugi bok. Jej włosy na koronkowej poduszce wyglądały jak plama ciemnego miodu. – Wstawaj!

– Czemu? – Przewróciła się na plecy i lekko uniosła jedną powiekę. Na widok ciemnego podróznego stroju siostry poderwała się z pościeli. – Stało się?

– Tak.

Marina wyskoczyła z łóżka i pobiegła do garderoby, żeby się przebrać, a Swietłana w tym czasie spakowała należące do siostry przedmioty do już ustawionej walizy. Ojciec je ostrzegł, że ten dzień nadejdzie, i dobrze się na niego przygotowały.

Swietłana przeszukała szkatułkę z biżuterią.

– Gdzie rubiny?

Marina poklepała się po brzuchu, wciągając na nogi grube rajstopy.

– W zesłym tygodniu wszyłam je w gorset.

To też przemyślały. Ich bagaż mógł zostać przeszukany lub skonfiskowany, więc najcenniejsze dobra, te, które miały pomóc im utrzymać się przy życiu, ukryły tuż przy ciele w nadziei, że rewolucjoniści ich nie zauważą.

Siostry w ciepłych strojach i ciężkich kozuchach chroniących przed złowrogą rosyjską zimą wzięły dwie małe walizki, wyszły z pokoju i skradając się przez korytarz niczym cienie, opuszczały rodzinny dom. Światło za oknami stało się jaśniejsze, jakby tuż przed bramą pałacu rozpalono ognisko. Odgłos wystrzałów odbijał się echem od sąsiednich budynków.

Wkrótce. Wkrótce tu będą.

Na korytarzu rozległ się rozpaczliwy krzyk.

– Stało się! – Szloch matki dobiegł je na ułamek sekundy przed tym, zanim ona sama skręciła na korytarz, przyciskając do siebie futro i czapkę kubankę. – Pozabijają nas!

Marina westchnęła. Swietłana położyła dłoń na ramieniu siostry, żeby nie uległa hysterii matki.

– Nie znajdują nas, mamó. Gdzie masz walizkę?

– Hmm... – Matka rozejrzała się, jakby bagaż miał się pojawić dzięki sile jej woli. – Jaki sens pakować dobytek, przecież nie wyjeżdżamy na zawsze. Wasz ojciec będzie walczył. Za kilka dni wrócimy. Nie mają prawa tu wejść!

Swietłana podeszła do matki i stanęła kilka centymetrów od jej bladej twarzy.

– Możliwe, że nigdy tu nie wrócimy.

– Car nie może nas zostawić na pastwę tych szaleńców!

Usłyszały dźwięk tłuczonego szkła.

Matka krzyknęła, ściskając w dłoni naszyjnik z krzyżykiem.

– Święty Piotrze, miej nas w swojej opiece!

Z holu dobiegły krzyki. Usłyszały dudnienie ciężkich butów na marmurowej podłodze.

Zza rogu, spoza tylnych schodów, wyłoniła się ciemna postać.

– Swietłana! Tędy! *Toropis!* – To był Siergiej. Jeden z przyjaciół jej brata.

– Nie. Tędy. – Swietłana obróciła się tyłem do frontowej części pałacu i krętymi korytarzami przebiegła do komórki w holu dla służby. Odsunęła fragment boazerii i odsłoniła ukrytą klatkę schodową. – Na dół. Szybko!

Marina i matka zniknęły w tajemnym wejściu. Swietłana i Siergiej ruszyli za nimi i zamknęli za sobą drzwi.

– Siergiej, co tu robisz? Gdzie Nikołaj i tata?

– Wezwani do obrony Pałacu Zimowego. Bolszewicy wkroczyli. Wiedziałem, że to tylko kwestia czasu. Przyszedłem, żeby was zaprowadzić w bezpieczne miejsce. – Jego zdyszany głos odbijał się od ścian ciasnego pomieszczenia, kiedy po omacku schodzili ciemną klatką schodową. Wpadające przez szpary nagle światło nieco rozpraszało całkowitą czerń.

– Dokąd dojdziemy?

– Do ogrodów. – Jeśli nie zostaną złapani.

W tunelu robiło się coraz jaśniej, ale noc, którą zobaczyli po wyjściu, wcale nie była jasna. Była czerwona, pełna przerażenia i zdrady. Za oknami pałacu, ich atakowanego z furią domu, który zostawiały, biegały ciemne postacie. W szybach odbijały się kaganki i broń.

Mama szlochała, Marina cicho kwiliła. Swietłana odwróciła je i wypchnęła przez zardzewiałą furtkę. Cicha ulica była śliska od deszczu, który spadł poprzedniego dnia.

Zanim skończył się ich świat.

Siergiej prowadził je dalej.

– Musimy szybko dotrzeć na dworzec kolejowy.

Chwycił Swietłaną za rękę i przyciągnął do siebie. Od stacji dzieliło ich zaledwie kilka przecznic, ale zdawało się, że pokonywanie tej odległości trwa całą wieczność, kiedy przemykali wzdłuż budynków i kulili się za dwukólkami, żeby się ukryć przed wrzeszczącym tłumem, wykrzykującym groźby pełne nienawiści wobec każdego, kto stanął im na drodze.

Na peronie kłębili się masowo uciekający arystokraci, kobiety w biżuterii i mężczyźni w futrzanych czapkach w panice usiłowali się wepchnąć do już przepełnionych wagonów.

– Tędy! Do przodu. – Siergiej, wysoki, z długimi rękami i nogami, przeciskał się przez tłum, przytrzymując mocno Swietłaną przy sobie. Marina i mama, idąc pod rękę, przedzierały się przez morze zdesperowanych ludzi.

Ktoś wyrwał Swietłanie walizkę. Ścisła ją triumfalnie młoda kobieta w łachmanach.

– Oddawaj ją, ale już!

Kobieta śmiała się, ukazując zepsute zęby.

– Odtąd to własność ludu. Wasz czas się skończył, *princesso*. – Brudne dłonie wyciągnęły się i wyszarpnęły walizkę Mariny. – Niech żyje lud! Niech żyje rewolucja! – Jej postać rozplynęła się jak dym.

Poza rojem ciał Swietłana dostrzegała niewielkie fragmenty pociągu. Ludzi stojących w środku głowa przy głowie. Mężczyzn spychających ze stopni kobiety, które próbowały się dostać do środka. Cały Piotrogród usiłował uciec, ale nie wszystkim miało się

to powieść. W żołądku Swietłany klębił się i syczał zimny strach. Im się uda. Dopilnuje, żeby siostrze i mamie się udało.

Tłum rozpierzchł się w poszukiwaniu powietrza, gdy silnik wykrztusił z siebie czarny dym. Rozległ się gwizdek. Ludzie z wrzaskiem rzucili się w stronę pociągu w ostatniej rozpaczliwej próbie znalezienia sobie miejsca.

Siergiej pchnął je w kierunku pierwszego wagonu. Chwytał Marinę i postawił ją na stopniach, a później pomógł wejść mamie. Koła pociągu zaczęły się toczyć.

Stuk! Stuuuk!

Nagle na peron wpadli żołnierze z czerwonymi opaskami na rękawach. Okładali pałkami mężczyzn i kobiety, czarnymi ciężkimi butami tratowali leżących. Bolszewicy.

– Brać ich! Bo pouciekają jak szczury!

Żołnierze rzucili się w stronę pociągu i zaczęli ściągać ludzi z toczących się wagonów. Siergiej chwycił Swietłanę w ramiona, ucałował ją w oba policzki i wsadził na stopnie.

– Paryż. Znajdę cię.

– Siergiej! – Swietłana wychyliła się poza barierkę i wyciągnęła rękę, błagając, żeby ją chwycił. – Siergiej!

Wyciągnięte ręce z czerwoną opaską zacisnęły się wokół niego i odciągnęły go, aż zniknął we wszechobecnym chaosie.

# I

Lipiec 1918  
Paryż, Francja

Edwynn MacCallan trzymał skalpel nad bijącym sercem – fenomenem z niezwykłymi komorami i cienkimi żyłami tłoczącymi życie. Kula w lewej komorze zagrażała trwaniu tego cudu.

– Tętno spada, doktorze. – Gerard Byeford, kolega i asystent chirurga, poruszył się nerwowo po drugiej stronie stołu operacyjnego.

- Jeszcze minuta.
- Nie mamy minuty.
- Pięćdziesiąt sekund.
- Wynn. Ty arogancki...

Wynn nie usłyszał nic więcej, bo uchwycona w bezwzględny uścisk kleszczy kula wydostała się z miejsca, w którym miała przynieść śmierć. Zadzwięczała niczym dzwon pośmiertny, uderzając o sterylną metalową tackę, i kulała się w tę i z powrotem, aż w końcu zatrzymała się w krwawych smugach.

Gerard wytarł cieknącą krew, a Wynn podał szczypcę pielęgniarsce, ona zaś wręczyła mu chirurgiczne imadło z igłą. Wynn wprawnym ruchem założył rząd starannych szwów z katgutem, po których pacjentowi miała pozostać lekko wypukła blizna, odznaka dzielnego Anglika. Dowód uznania zdobyty na polu walki. Szczęściarz. Całe rzesze Tommych przypląciły swój udział trumną albo dołem w ziemi niczyjej.

Następny pacjent nie miał takiego szczęścia. Przysłano go ze szpitala polowego pod Amiens z blaszką informującą o odłamku



w brzuchu, ale w całej masie rannych przewijających się przez takie miejsca przeoczono uraz nerki. Żołnierz, najwyższej dwudziestoletni, zmarł, zanim zrobiono nacięcie.

Wynn zdjął maskę chirurgiczną i rękawiczki, wrzucił je do kosza z brudną bielizną i uciekł od nękających go zapachów śmierci i porażki. Czekają go tysiące kolejnych, bo parszywa wojna wciągała ich w czwarty rok śmierci i zniszczenia.

Gdyby pozwolił, żeby ta trzeźwa myśl zabawiła w jego umyśle zbyt długo, postradałby zmysły. Armia nie potrzebowała stukniętego lekarza wojskowego, więc wiedział, że załamanie nerwowe musi odłożyć na inne czasy.

Wymknął się tylnym wejściem paryskiego hotelu zamienionego na szpital i usiadł ciężko na kamiennych schodach. Jaskrawopomarańczowa kula słońca wisiała nisko na niebie i muskała światłem dachy paryskich budynków, które jeszcze nie zawaliły się pod trwającym od tygodnia najazdem Hunów. Na ogół nie wiedział, czy słońce wschodzi, czy zachodzi, bo dni całkiem mu się zlewały. Pory dnia domyślał się jedynie po dolatującym z kuchni zapachu – smażone jajka oznajmiały o śniadaniu, fasola zwiastowała kolację. Nie świadczyło to o wykwintnych wyznacznikach czasu, ale potrawy przynajmniej były gorące.

– Tu jesteś.

Wynn zdobył się na uśmiech, słysząc dźwięk znajomego głosu.

– Wydawało mi się, że poczułem marchewkę.

Gerard z włosami płonącymi niczym dojrzały korzeń marchwi usiadł obok niego na schodach. Jego wcześniej biały chirurgiczny fartuch był cały w operacyjnych wydzielinach. Podobnie jak fartuch Wynna.

– Ha, ha, ten dowcip się nie starzeje, prawda, milordzie?

Wynn zrobił groźną minę na dźwięk tytułu, od którego próbował się odżegnywać przy każdej sposobności. Jako drugi syn bardzo

majętnego księcia Kilbride nigdy nie musiał przejmować się ciężarem, jakim tytuł i ziemia obarczały jego brata Hugh, pierworodnego dziedzica. Wynna obchodziła jedynie praca chirurga.

– Mówiłem ci, żebyś mnie tak nie nazywał.

– Proszę wybaczyć, doktorze markizie.

– Ten żart też się nie starzeje.

– Wcale. Kiedy my, zarozumiali chirurdzy, zaczynamy mieć o sobie zbyt wysokie mniemanie, dowiadujemy się, że obracamy się wśród arystokracji. Przy bliższym poznaniu nie jesteś taki zły. W małych dawkach.

– Lepiej, żeby nikt tego nie usłyszał. Ludzie gotowi pomyśleć, że celowo nie przykładam się do pracy, żeby gnębić plebs. Jakbyśmy mało mieli na głowie.

Gerard pochylił się, wciskając piegowate dłonie między kolana.

– Ilu dzisiaj, Wynn?

Od pewnego czasu lekarze często zadawali sobie to pytanie na koniec dyżuru. Nie dlatego, że urządzali osobliwe, perwersyjne zawody ani także z chorobliwej ciekawości, ale żeby stwierdzić, kto najbardziej potrzebuje przerwy. Troska o innych pochłaniała ich na tyle, że nierzadko zapominali o sobie samych. Chociaż w ten sposób mogli zadbać o siebie nawzajem.

Wynn wziął głęboki oddech i nabrał do płuc wilgotnego wieczornego powietrza, które wisiało nad małym ogrodem. Niedługo zadbane kawałki trawy, po którym przechadzali się hotelowi goście, szybko zapełnił się szpitalnymi zapasami i namiotami do oczyszczania ran. Można było jedynie mieć nadzieję, że kiedyś tym miejscem znów zawładnie woń jaśminu i kwitnących drzew pomarańczowych zamiast zapachu płótna i wybielacza.

– Sześciu. Dwa krwotoki. Uraz nerek. Wykrwawienie podczas amputacji. Zgon w trakcie operacji i infekcja. Raniony móżdżkiem chłopak leżał w błocie siedemdziesiąt dwie godziny. Nie miał

szans, kiedy trafił na mój stół. Nie miałem nawet morfiny, żeby mu ulżyć. – Potarł przekrwione oczy. – Ciągłe napływają nowi. Fala za falą, połowa nawet nie trafia na stół. A ci, którym się to udaje... No, wiesz.

– Tak. Wiem. Sam straciłem dwóch.

Po czterech ciężkich latach nie musieli dużo mówić. Pozostawała jedynie nadzieja, że wkrótce się to skończy.

Wynn klepnął Gerarda w ramię, a szczupły mężczyzna się zachwiał – marchewkę przypominał nie tylko kolor jego włosów, ale także sylwetka.

– Jutro będzie lepiej. Mogę się założyć o mój najlepszy rozwieracz.

– Rozwieracz, mówisz? Przydałby mi się nowy.

– Masz dość tego, że pielęgniarki przytrzymują brzegi rozcięcia palcami?

– Robimy, co musimy, kolego. Przepraszam, milordzie.

– Dla ciebie, plebejzsu, lordzie doktorze. – Wynn ziewnął i zrobił skłon do obolałych stóp, spoglądając przy tym na zegarek. Był na nogach od niemal ośmiu godzin. Gdy wkraczał do sali operacyjnej, czas się zatrzymywał. Istniał dla niego tylko pacjent, którego miał przed sobą. Po dyżurze szybko odzywały się przyziemne bóle i dolegliwości zwykłego śmiertelnika, który potrzebuje odpoczynku. – Lepiej pójdę na moją pryczę. Nestor musi wiedzieć, gdzie mnie szukać, kiedy za kilka godzin zaczniesz przybywać rannych.

Gerard przewrócił oczami na wzmiankę na temat zarządcy szpitala.

– Tym razem utrzymam go z dala od ciebie tak długo, żebyś zdążył zmrużyć oko na parę minut.

– Dzięki, przyjacielu. Gdybyś widział, że się osuwam, podtrzymaj mnie miotłą.

Skręcił za róg budynku, gdzie w wielkich kotłach z wrzątkiem dezynfekowano poplamione fartuchy, rękawiczki i maski. Porządnie

wymoczone w wybielaczu i wyszorowane ługiem akcesoria chirurgicznie odzyskiwały sterylną czystość i wkrótce miały być gotowe na powitanie nowych pacjentów. Pośpiesznie wszedł do środka, starając nie rzucać się w oczy. Gdyby trafił na bojową pielęgniarkę, nie zdołałby dotrzeć do łóżka. Szybko się odhażył. Dyżurna pielęgniarka przechyliła głowę, gdy wypisywał się w księdze obecności.

– Do zobaczenia za sześć godzin, doktorze MacCallan.

– Marzycielka z pani. – Wynn wsunął ręce do obcisłej marynarki, nie kłopotując się jej zapinaniem.

– A co mi zostało?

– Ma pani rację. Dobranoc.

– Dobranoc, doktorze.

Wynn wyszedł ze szpitala, skręcił w pusty Boulevard de Courcelles i ruszył do miejsca zakwaterowania jego i innych lekarzy, dwie przecznice dalej. Cieszył się, że miał specjalną przepustkę, która pozwalała mu opuszczać teren szpitala po godzinie policyjnej, bo inaczej musiałby do rana tkwić w swoim gabinecie. Wzdłuż brukowanej ulicy rosły wysokie, soczyście zielone klony. Typowe paryskie budynki z piaskowca z balkonikami z misternie zdobionymi poręczami z kutego żelaza przyglądały się powolnemu upływowi czasu, niewzruszenie obserwując przemijające pokolenia. Gazowe latarnie wisiały sennie na hakach ulicznych słupów, bo Miasto Światła w obliczu wojny zostało zmuszone do wygaszenia swojego blasku. Z westchnieniem kończyło wyczerpujący, bezbarwny dzień, a jego piękno lśniło w cudownie delikatnym świetle księżycy.

Ciężkie, letnie powietrze było niczym błogosławieństwo po jednej z najmroźniejszych zim w historii Francji. Mieszkańcy Paryża musieli rąbać własne drzwi i meble, które przetrwały niejedną rewolucję, żeby mieć czym palić w piecach, ale nie zapobiegło to licznym zgonom z powodu wychłodzenia. Warunki na froncie były

tysiąc razy gorsze. Cud, że w ogóle jacyś żołnierze przeżyli. Do ran od fragmentów pocisków, pogruchotanych kości i dziur po kulach doszły odmrożenia i hipotermia.

– *Non!* – Na pustej ulicy rozległ się krzyk. Trzy domy dalej w wejściu jakaś kobieta krzyczała po francusku na osobę stojącą na stopniach.

Postać owinięta długim szalem, który przykrywał głowę, cofnęła się o krok i uniosła ręce, jakby w błagalnym geście. Sądząc po szczupłym ciele i lamówce okrycia, była to kobieta.

– *Non!* – Francuzka wyciągnęła zza pleców butelkę i zamachnęła się, by nią rzucić.

Kobieta w szalu, potykając się, zeszła na ścieżkę i osłoniła dłońmi twarz i głowę. Francuzka ze złowrogim krzykiem rzuciła butelką, odwróciła się i zatrzasnęła za sobą drzwi. Szkło się rozbiło. Spanikowana kobieta odwróciła się, ale przydepnęła szal i przewróciła się na potłuczone szkło. Krzyknęła z bólu, a zsuwający się z głowy kaptur odsłonił srebrzyste włosy i twarz, która wyglądała, jakby była perfekcyjnie wykuta w lodzie. Kobieta zarzuciła nakrycie na głowę, podniosła się z trudem i ruszyła naprzód.

– Proszę pani! – Wynn podszedł do niej szybkim krokiem. – Skaleczyła się pani. Pomogę.

Kobieta, ściskając szal, pokuśtykała ulicą i wślizgnęła się przez bramę do Parc Monceau. Wynn pognął za nią. Była szybka. Przemknęła pomiędzy drzewami i ich cieniami i przez wysoką czarną furtkę przedała się na drugą stronę. Zanim Wynn dobiegł do bramy, kobieta zdążyła zniknąć na skrzyżowaniu pięciu ulic na przecięciu Rue de Courcelles i Avenue Hoche. Zwykle rozbrzmiewały stukotem powozów, dwukółek i kroków przechodniów, ale po godzinie policyjnej panowała tu martwa cisza.

Jak to możliwe, żeby ranna kobieta poruszała się tak szybko? Skaleczenia najprawdopodobniej krwawiły. Przyjrzał się ulicy. Krople

krwi prowadziły na Avenue Hoche. Niczym pies gończy ruszył wilgotnym szlakiem, który zawiódł go do bocznej uliczki. Przeszedł przez wąski zaułek otoczony wysokimi budynkami i wynurzył się na małym dziedzińcu za przysadzistą budowlą ze stożkowymi dachami zwieńczonymi złotymi kulami i krzyżami. Kościół. Mówiąc dokładnie, rosyjski sobór prawosławny. Nigdy wcześniej nie był w tej dzielnicy. Z ciemnego zakątka dziedzińca wyłoniła się kobieta. Kuśtykała teraz mocniej i dyszała. Potrzebowała pomocy lekarza.

W oddali eksplodował odgłos syreny. Alarm szpitalny. Nadjeżdżały konwoje z rannymi, a to oznaczało: wszystkie ręce na pokład.

Na miejscu znajdowali się inni lekarze. Wynn nie był potrzebny, choć czuł, że szpital go przyzywa. Wszedł na dziedziniec i wpadł na zestaw kubłów na śmieci. Metalowe pokrywy zabrzęczały w zderzeniu z kamiennym brukiem.

Kobieta puściła się biegiem przez dziedziniec i szarpnęła drzwi komórki na tyłach kościoła.

– Chwileczkę! – krzyknął Wynn.

Nieznamoma wpadła do środka i zatrzasnęła za sobą drzwi. Zardzewiały zamek zamknął się z łoskotem.

Znów rozległy się syreny. Nie mógł ich dłużej ignorować. Sfrustrowany, rzucił ostatnie spojrzenie na drzwi i ruszył biegiem w kierunku szpitala.

Krzątania na bloku operacyjnym trwała do wczesnych godzin rannych. Żołnierze z walk pod Reims. Około piątej, kiedy ostatni pacjent został przeniesiony na salę pooperacyjną, Wynn zasnął na fotelu w kącie, ale obudziła go delikatna dłoń pielęgniarki.

– Doktorze, nie ma potrzeby, żeby pan tu siedział. Proszę iść do domu.

Zastęp pielęgniarek z Ochotniczego Oddziału Pomocy zdążył już uprzątnąć i wyczyścić niegdyś okazałą jadalnię, teraz pełną stołów

operacyjnych, narzędzi chirurgicznych i aparatury niezbędnej w pracy chirurga. Jedynie kosz pełen brudnych i zakrwawionych bandażów był dowodem gorączkowych nocnych poczyznań.

Wynn w jednej chwili oprzytomniał. Nabrał tego zwyczaju z zawodowej potrzeby.

– Najpierw zajrzę do moich pacjentów. Był jeden z urazem głowy...

– Doktor Byeford robi obchód i obiecał, że powiadomi pana, jeśli zajdzie potrzeba. A sio, doktorze.

– Idę, idę, siostró. – Podniósł się i zasalutował żartobliwie.

Z ochotniczkami nikt się nie kłócił. Bez ich pomocy personel medyczny nie dałby sobie rady.

Wynn zdjął chirurgiczny fartuch, maskę oraz rękawiczki i porządnie wyszorował dłonie, po czym ruszył do wyjścia, do przyzywającego go łóżka. Może tym razem w końcu zdoła do niego dotrzeć.

– Takich tu nie przyjmujemy. Proszę iść do kaplicy Wszystkich Świętych. Tam się zajmują takimi przypadkami. – Podporucznik o twarzy dziecka, tuż po studiach medycznych, zablokował wejście dwóm kobietom owiniętym kolorowymi szalami mimo letniej temperatury.

– Proszę. Ona nie dojdzie tak daleko – odezwała się wyższa. Rosjanka. Było słyhać, że bardzo kulturalna.

– W karawanie macie na pewno mistyczkę, która rozwiąże wasze problemy. Jak się nazywał ten facet? Rasputin? Słyszałem, że świetnie się zaopiekował carską rodziną. Zwłaszcza carycą.

– Nie ma pan pojęcia, o czym pan mówi. To zuchwałe słowa. – Głos kobiety był lodowaty.

Wynn podszedł do nich, zanim podporucznik zdążył do końca dowieść swojej bezużyteczności.

– W czym mogę paniom pomóc?

Drobny mężczyzna obrócił się na pięcie i zbladł.

– Doktorze MacCallan, tłumaczyłem tym paniom, że stosowną pomoc otrzymają w paryskiej kaplicy dla uchodźców. Tam trafiają ludzie do nich podobni.

– To ponad osiem kilometrów stąd.

– Zgadza się, sir, ale nie mogą...

Wynn zignorował głędzenie młokosa i podszedł do kobiet.

– W czym mogę paniom pomóc? – Dalsze słowa uwięzły mu w gardle, gdy jedna z kobiet odwróciła się do niego. W szarym świetle wczesnego poranka wyglądała niczym rzeźba z białego marmuru, podobnie jak kilka godzin wcześniej, kiedy upadła na ulicy. Jednym słowem, oszałamiająco. – To pani!

– Słucham? – Nie rozpoznała go. Jej jasnoblękitne oczy spoglądały na niego z wyższością, która sugerowała życie bez konieczności kłaniania się komukolwiek. Wysoka i szczupła, zachowywała się jak arystokratka.

Niczego bardziej nie pragnął, niż wypytać ją o nocną eskapadę, ale nie mógł zrobić tego tutaj, na schodach, na oczach całej Francji. Spojrzał na drugą kobietę o twarzy pełnej zmarszczek, przyciskającą owiniętą czymś rękę do piersi. To ona potrzebowała pomocy lekarskiej.

– Proszę wejść.

Podporucznik przesunął się i zablokował schody.

– Ale, sir...

Wynn spojrział na niego z wyższością i z niesmakiem. Nie cierpiał obnosić się ze swoim tytułem, ale dla tego padalca zamierzał zrobić wyjątek.

– Proszę wracać do swoich obowiązków. Opróżniał pan chyba nocniki, prawda?

Podporucznik zniknął szybko z gniewną miną. Wynn przesunął się na bok i wskazał kobietom, żeby weszły do szpitala.

– Panie przodem.



Młodsza objęła starszą i pomogła jej pokonać kilka ostatnich stopni, po czym obie wślizgnęły się do środka. Choć właściwie trudno było to nazwać wślizgnięciem, zważywszy na kontuzjowaną prawą nogę kobiety. Pielęgniarka z oddziału wolontariuszek zerknęła na nich z recepcji z serdecznym uśmiechem na młodej twarzy.

– Szybko pan wraca, doktorze.

– Nie może się mnie pani pozbyć. Przeprowadzę badanie w moim gabinecie.

– Tak jest, sir.

W normalnych okolicznościach Wynn nie wpuściłby pacjenta do prywatnego sanktuarium personelu medycznego, ale wszystkie pokoje były po brzegi wypełnione rannymi żołnierzami. Do swojego służbowego pomieszczenia nie chciał wpuszczać nikogo, a zwłaszcza kobiet, z jeszcze innego, dość krępującego powodu.

Zamaszystym ruchem otworzył drzwi i się skrzywił. Dwa zsunięte z sobą na środku gabinetu biurka tonęły pod stertami kleszczy, bandaży i szklanych butelek z mydłem karbolowym i płynem dezynfekującym. Na ścianach wisiały mapy Francji, pól walki i stacji kolejowych, a na biurkach piętrzyły się rozmaite dokumenty. Ten cały bałagan wynikał z tego, że lekarze byli zbyt zajęci opatrywaniem ran, żeby zwracać sobie głowę papierkową robotą.

– Przepraszam za ten nieład. Tak to jest, jeśli w gabinecie ulokuje się dwóch starych kawalerów i liczą na cud.

Młoda kobieta zmierzyła pokój wzrokiem, po czym zwróciła się do Wynna, dowodząc swej błyskotliwości.

– Pan jest lekarzem?

– Mam nadzieję. Inaczej będę mieć problemy, jeśli ktoś się dowie, że tu jestem.

Jej twarz ani drgnęła. *Twarda sztuka*. Wynn zebrał papiery ze swojego krzesła i przełożył je w czeluści biurka Gerarda, odsunął krzesło i wskazał starszej kobiecie, żeby usiadła.

Ta poczłapała do przodu i ciężko opadła na siedzenie, ściskając skaleczoną dłoń. Wynn dokonał szybkiej oceny: szara skóra, spierzchnięte wargi, suche oczy, początki artretyzmu. Kręcone siwe włosy ujarzmione pod czarnym szalem przewiązany pod obwisłą linią brody. Znoszone, ale solidne ubranie. Popękane botki i zgarbione plecy. Diagnoza? Przywykła do ciężkiej pracy i niewyszukanego pożywienia. Życie skromne, lecz nie biedne. Do tej pory.

Ukląkł, ujął jej dłoń i ostrożnie odwinął tkaninę, spod której wyłoniły się skaleczone palce: wskazujący i kciuk. Z rozcięć popłynęła jaskrawoczerwona krew, kiedy do skóry dotarło powietrze. Szybko owinął dłoń z powrotem.

– Proszę ścisnąć, żeby zatamować krwawienie. – Przeszukał przybory, wyciągnął świeżą gazę, lniane bandaże, wacik z lizolem oraz maść i wszystko położył na biurku obok kobiety. – Jak się pani skaleczyła?

Żadna z kobiet się nie odezwała.

Wynn wyciągnął rękę w kierunku poplamionej krwią tkaniny na dłoni kobiety. Odepchnęła go i wskazała na młodszą, z przejęciem mówiąc coś po rosyjsku. Młodsza kobieta pokręciła głową, jakby się nie zgadzała, próbując skierować uwagę na dłoń swojej starszej towarzyszki. Ta, poirytowana, szarpnęła spódnicę dziewczyny. Wynn zauważył rozdarcie i plamę krwi.

Skaleczenie od upadku, który widział, zanim mu uciekła. Próbowała je teraz ukryć ze względu na ranę swojej starszej znajomej. Szlachetnie, ale na szpitalnym oddziale dumę należało schować do kieszeni.

- Chciałbym zbadać pani nogę – oznajmił Wynn.
- Proszę zająć się najpierw nią.
- Pani krwawi i kuleje, to o wiele poważniejsze. Pani towarzyszka jest na razie w dość dobrym stanie.

Wbiła w niego wzrok, jakby swoimi błękitnymi oczami oceniała jego zdolność do wyciągnięcia takich wniosków. Dopiero szturchnięta ponownie przez starszą kobietę poddała się i usiadła na krześle, które Wynn wysunął sprzed biurka Gerarda.

Ubiór miała skromny, niebieskoszary, ale dobrej jakości mimo rozdarcia pod kolanem. Kobiety nieczęsto zebrały na ulicach. Jeśli chciała utrzymać wokół siebie aurę tajemniczości, znakomicie jej się to udawało.

*Zajmij się jej dolegliwością.* Był przede wszystkim lekarzem, na litość boską.

– Proszę podnieść spódnicę.

Wydęła wargi z odrazą na dźwięk tych słów – sam z trudem je wypowiedział – i podniosła rąbek spódnicy tuż pod kolano. Jej zgrabne nogi ukryte były pod cienkimi, bawełnianymi pończochami – jedna opuszczona ukazywała odłamek szkła wbity w okolice goleni. Wokół rany zaaplikowano grubą warstwę zielonej maści, ale po nodze ciekły jaskrawoczerwone krople krwi. Odłamek bez wątpienia przemieścił się po drodze do szpitala.

– Ma pani szczęście – oznajmił. – Mimo wszystko nie będzie potrzebna amputacja.

Westchnęła.

– Więc nie jest bardzo źle.

– Nie.

– Zabawny pan jest.

– Dziękuję.

– To nie był komplement.

– Cóż, w takim razie zostałem przywołany do porządku. – Wynn przesunął się do stołu przyborów i odszukał zestaw do ekstrakcji składający się z pincety, jodyny, gazy, bandażu i igły chirurgicznej. Nie zliczyłby, ile razy użył go u pacjentów z odłamkami. Po raz pierwszy jednak miał do czynienia z kobietą.

– Jak się pani nabawiła tego skaleczenia? – Był właściwie pewien, że zna odpowiedź, ale nie mógł się do tego przyznać. Nie mógł wyjawić informacji, której nie wyjawiała ta kobieta.

Na jej twarzy pojawiła się panika. Szybko nad nią zapanowała.

– Przewróciłam się.

– Na rozbitą butelkę?

– Na ziemi leżą rozmaite przedmioty, których nie powinno tam być, potknęłam się.

A więc nie chciała zdradzić prawdziwej przyczyny skaleczenia. Zamierzał uszanować jej pragnienie zachowania prywatności. Na razie. Wtarł w dłonie kilka kropel jodyny, szybko rozłożył przybory w kolejności, w jakiej zamierzał ich użyć, i wskazał blat biurka.

– Przepraszam za brak stołu zabiegowego z prawdziwego zdarzenia, ten będzie musiał nam wystarczyć.

Kobieta z wdziękiem usiadła na biurku, prosta jak struna, i wyciągnęła nogi, kierując palce w dół. Nienaganna poza, biorąc pod uwagę ból, z jakim się zmagala.

Wynn za pomocą pincety zanurzył gazik w jodynie.

– Będzie lekko piekło. – Przetarł skórę wokół rany. Nieznajoma nawet się nie skrzywiła. To dobrze. Mieli za sobą ten łatwiejszy etap. – Teraz chciałbym, żeby palcem wskazującym i kciukiem ścisnęła pani skórę pomiędzy tymi samymi palcami drugiej dłoni. Najmocniej, jak pani potrafi.

– To pomoże mojej nodze?

– To część procedury. Proszę mi zaufać. – Nie chodziło o żadne procedury, ale o to, żeby pacjent skupiał się na czymś innym przez tych kilka sekund, gdy Wynn usuwa obce ciało. Nigdy wcześniej nikt tego nie kwestionował. Chirurg mocno ścisnął pincetę, chwycił odłamek i pociągnął. Szkło lekko się przesunęło. Kobieta wydała z siebie cichy, gardłowy pomruk. – Ściska pani?

– Tak. – Głos miała spięty. Wiedział, jak to musi boleć. Dzielną dziewczyna.

Przygotował się do wysiłku, jakiego wymagało zadanie, i mocno szarpnął. Szkło wyszło. Z rany trysnęła jaskrawoczerwona krew. Wytarł miejsce najdokładniej, jak mógł, założył rządkiem równych szwów i znów przetarł ranę jodyną, a nogę owinął czystym bandażem. Obciągnął spódnice, żeby dłużej nie krępować pacjentki, i się odsunął.

– Już po wszystkim.

Białe palce kobiety zaciskały się na krawędzi jego biurka, jej wargi na kredowobiałej twarzy wyglądały jak blada kreska.

Wynn delikatnie dotknął jej ramienia.

– Można już oddychać.

Wzięła głęboki oddech i wyzwoliła się z ochronnej skorupy milczenia, w jakiej często zamykali się ranni, żeby przetrwać procedurę.

– Dziękuję.

– Zabiera pani na pamiątkę? – Wynn wskazał szklany odłamek.

Paskudna sprawa. Francuzka, która rzuciła butelką, powinna zostać zmuszona do przeczolganiania się po szkle.

– A zwyczajowo zatrzymuje się takie dowody cierpienia?

– Wielu żołnierzy zachowuje swoje odłamki i kule. Owijam je w kawałek materiału i przywiązuję po operacji do ręki pacjenta. To jak medal, który chętnie pokazują po powrocie do domu.

– Mnie niepotrzebna taka pamiątka. – Wygladziła spódnice i płynnym ruchem zsunęła się z biurka.

Wynn z krzepiącym uśmiechem odwrócił się do drugiej pacjentki.

– Teraz pani kolej. – Uklęknął i szybko odwinął opatrunek z dłoni kobiety. Krwawienie ustało i pokazały się czyste, ale głębokie rany. Takie, jakie mogą pozostawić jedynie odłamki szkła lub metalu. – Jak się tego nabawiła?

Młoda kobieta zawahała się.

– Próbowała wyciągnąć szkło z mojej nogi. W Rosji uchodzi za wspaniałą felczerkę.

– To pani sporządziła zieloną maść. – Wynn podniósł ścierkę, którą wcześniej wytarł miksturę. Starsza kobieta kiwnęła głową ze zrozumieniem i odpowiedziała po rosyjsku.

– Miazga z krwawnika zmieszana z naparem z żywokostu – przetłumaczyła młodszą.

– Dobra robota – pochwalił Wynn.

Dziewczyna powtórzyła jego słowa po rosyjsku, a twarz starszej pacjentki się rozpromieniła. Zdawało się, że odpowiada pytaniem.

Jej młodszą towarzyszką kiwnęła głową.

– *Da, babuszka.*

Uśmiech starszej kobiety odsłonił brak zęba, a ona zdrową dłońią pogłaskała lekarza po policzku. Wynn wylał trochę jodyny na czysty gazik i przemył skaleczenia. Spomiędzy spierzchniętych warg starszki wydobył się syk. Gruby jasnoblonde warkocz opadł na ramię młodej kobiety, kiedy pochyliła się nad uchem starszej.

– *Uspokoj się, babuszka.*

Wynn kiwnął głową dla pokrzepienia.

– Całkiem niezłe, pani Babuszko.

Dziewczyna uniosła brwi.

– Dlaczego pan się do niej tak zwraca?

– Tak się chyba nazywa?

– *Babuszka* to po rosyjsku babcia.

– A, przepraszam. Nie chciałem być niegrzeczny.

– To bardzo grzeczne nazywać tak ludzi ze starszego pokolenia w uznaniu dla ich mądrości.

– Ulżyło mi. Moja babka spoliczkowałaby mnie, gdybym publicznie zwrócił się do niej w tak nieformalny sposób. Gorliwie pilnowała przestrzegania zasad.

Starsza kobieta podniosła wzrok na młodszą i o coś spytała. Ta powiedziała coś szybko, kilka razy wskazując Wynna. Gdy skończyła tłumaczenie, na twarzy starszej Rosjanki pojawił się uśmiech. Znowu pogłaskała Wynna po policzku.

– *Gotubczik.*

– Pani Warieńska mówi, że jest pan bardzo miły.

Wynn uklonił się nad skaleczoną dłonią, którą cały czas trzymał.

– Bardzo mi miło, pani Warieńska. Nazywam się Edwynn Mac-Callan, ale wolę zdrobnienie Wynn.

– *Gotubczik.* – Pani Warieńska znów pogładziła go po twarzy, a później wskazała na młodszą kobietę. – *Princessa* Swietłana Dmitriewna Dalska.

Powiedziała: *princessa*? Księżniczka?

Młoda kobieta zbladła i położyła dłoń na ramieniu pani Warieńskiej.

– Swietłana Dalska. Proszę.

Pani Warieńska, marszcząc czoło, wylała z siebie potok rosyjskich słów, który szybko powstrzymała odpowiedź Swietłany.

Wynn miał wrażenie, że rozmowa na temat zrzeczenia się arystokratycznych tytułów nie jest przeznaczona dla jego uszu, więc chwycił bandaż i szybko owinął dłoń pani Warieńskiej.

– Może się goić kilka dni, ale gdyby ból się nasilił, pani wraz z babcią...

– To nie jest moja babcia – wyjaśniła Swietłana.

– Nie? Zdawało mi się... Cóż, jak ja coś chlapnę...

Spojrzała na podłogę.

– Jak to: chlapnę? Podłoga jest zupełnie sucha, nigdzie pan nie nachlapał...

– To takie powiedzenie. Znaczy tyle, że czasami nie umiem utrzymać języka za zębami.

– Przecież to rozmowa. Dlaczego miałby pan się nie odzywać?

– Raczej trudno to przetłumaczyć na rosyjski – roześmiał się Wynn i zajął się sprzątaniami przyborów, żeby zdążyć, zanim wejdzie Gerard i zapyta o improwizowane zabiegi. – To znaczy, że czasami powiem coś niewłaściwego. Nie zawsze celowo. Chyba mi pani nie powie, że nigdy nie wymknęło się pani coś, czego nie powinna była pani powiedzieć.

– Nie.

– Nigdy?

– Oduczono mnie tego. – Chwyliła panią Warieńską za rękę i pomogła jej wstać. – Ile jesteście panu winne?

Wynn machnął ręką.

– Na koszt firmy. – Widząc zdezorientowaną minę Swietłany rozglądającej się po gabinecie, sprostował: – Nie pobieramy opłat od pacjentów w czasie wojny.

– *Spasibo*. Dziękuję.

– *Spasibo, gotubczik* – powtórzyła pani Warieńska, znów głaszcząc Wynną po policzku.

Wynn poszedł z nimi do wielkiego holu zamienionego w poczekalnię. Z kuchni stołowych rozmiarów doleciał zapach jajek i bekonu, przygotowywanych dla pacjentów na śniadanie.

Z głową chwilowo uwolnioną od ran i krwi poczuł wzmożone zaciekawienie wydarzeniami poprzedniej nocy.

– Odprowadzę panie. Wezwałbym powóz albo nowoczesny automobil, ale większość została wysłana na front.

Swietłana okryła głowę kolorowym szalem.

– Nie ma potrzeby. Dojdziemy piechotą.

– Możliwe, ale nie chciałbym się rano przekonać, że wpadły panie do rysztoła. Polecenie lekarskie. – Nie zamierzał pozwolić, żeby dwie poranione kobiety szły same. Paryż znajdował się dość daleko od linii frontu, ale na ulicach wcale nie było bezpiecznie.



– Skoro pan nalega. – Swietłana chwyciła panią Warieńską pod rękę i wyszła z budynku, nie czekając na Wynna, który ruszył za nimi. Kiedy szybkim krokiem podszedł do staruszki, żeby wziąć ją pod rękę, puściła do niego oko i kuśtykając, przeszła z drugiej strony Swietłany, pozwalając mu znaleźć się obok sekretnej księżniczki. Wyglądało na to, że babcie i *babuszki* w każdej kulturze zachowywały się jednakowo. Nie żeby miał coś przeciwko spacerowi obok pięknej kobiety. Wolałby jedynie taką, która odzywałaby się do niego bez odpychającego grymasu na twarzy.

Słońce wzniosło się ponad niebieskie i szare dachy budynków i opromieniało świat pięknym pomarańczowym blaskiem, który odbijał się w setkach okien w fasadach z piaskowca, wyrrywając śpiących mieszkańców ze snu. Paryż był miastem życia, ale o tej porze można było wziąć głęboki oddech i cieszyć się ciszą przed porannym gwarem.

Bardzo lubił tę porę dnia.

– Jak długo jest pani we Francji? – spytał.

– Sześć miesięcy.

– A więc podróż w środku zimy. Musiała być trudna. Z tego, co wiem, rosyjskie zimy są srogie.

– Tak. – Z każdym krokiem, kulejąc, coraz bardziej zaciskała wargi.

Wynn wyciągnął do niej rękę.

– Proszę się na mnie wesprzeć. Odciąży pani nogę.

Odsunęła się.

– Poradzę sobie.

Nie ulegało wątpliwości, że jest uparta. Jeśli ból okaże się zbyt silny, będzie musiał ją nieść. Wyobrażał sobie jej protesty wobec tej perspektywy.

– Przyjechała pani sama?

– Nie.

– Z rodziną?

– Tak.

Czuł się tak, jakby gołymi rękami próbował rozbić ścianę lodu. Zmienił taktykę, kiedy mijali Parc Monceau i przypomniał mu się wieczorny bieg wśród roślin.

– Ja podróżowałem zawsze z bratem. Dorastałem w Szkocji, tam łatwo przepaść na dzień czy dwa. Oczywiście my się nigdy nie zgubiliśmy. Znaliliśmy na pamięć każde drzewo i kamień na ziemiach MacCallanów. Pakowaliśmy się we wszelkie możliwe kłopoty. – Na wspomnienie tych minionych czasów beztroskiej młodości dopadł go smutek. – To było przed wojną.

Obok nich przemknął kot z wystającymi żebrami. Wojenny głód nie ominął żadnej żywej istoty. Kocur popatrzył na nich na chwilę starożytnymi oczami, machnął wyliniałym ogonem i zniknął w zaułku.

Swietłana zerknęła nieśmiało na Wynna.

– Pan długo jest we Francji?

– Od wybuchu wojny. Zdążyłem przepracować dwa lata w szpitalu w Edynburgu. Mój brat zaciągnął się do wojska jako jeden z pierwszych, ale ja czułem, że bardziej się przydam jako cywil. Większość dni spędzam w szpitalu. Tu nie trzeba się przejmować wojskową biurokracją. Od tamtej pory wycieram błoto.

– Pański brat tu jest?

Wynn poprowadził je z bulwaru w Rue Daru do dzielnicy, której nie znał. I nic dziwnego. W świetle dnia zauważył, że tabliczki na drzwiach napisane są cyrylicą. Mężczyźni w skórzanych butach z cholewami i w długich tunikach palili w bramach papierosy, a zgarbione starsze kobiety w wyblakłych czarnych apaszkach na głowach wędrowały z koszami w rękach. Rosjanie. Jeszcze kilka przecznic i dotrą do tajemniczego kościoła, do którego Swietłana szczęśliwym trafem znalazła tylne wejście.

– Hugh dowodzi batalionem gdzieś pod Verdun. Nie widziałem go od ponad dwóch lat, ale obiecał mi, że spotkamy się tutaj w dniu, w którym zostanie ogłoszony pokój.

– Dziwne miejsce na spotkanie.

Wynn pomyślał o rodzinnej kamienicy w modnej ósmej *arrondissement* i o wszystkich spędzonych w niej letnich wakacjach, kiedy spacerowali po Jardin des Tuileries i słuchali koncertów w Petit Palais. On i Hugh, zamiast słuchać kolejnego kwartetu dętego, zawsze wymykali się na poszukiwania skarbu zakopanego przez Napoleona.

– Można powiedzieć, że ma dla nas wartość sentymentalną.

– Sentymenty nie zawsze są praktyczne.

– To prawda, ale bez nich świat staje się nudny, a życie beznadziejne.

– Nadzieję można zachować. Wiem coś o tym. – W jej głosie pobrzmiwała gorycz tysięcy żywotów, zbyt wielka u tak młodej osoby.

W końcu spośród szarych i beżowych budowli z piaskowca wyłonił się kościół z cebulastymi kopułami lśniąco pomarańczowo i złoto. Swietłana stanęła jak wryta.

– Dokąd nas pan prowadzi?

Teraz nie mogła mu uciec.

– Chyba tutaj panie szły?

# SPIS ROZDZIAŁÓW

Prolog: <i>Październik 1917. Piotrogród, Rosja</i> . . . . .	9
Rozdział 1: <i>Lipiec 1918. Paryż, Francja</i> . . . . .	15
Rozdział 2 . . . . .	35
Rozdział 3 . . . . .	47
Rozdział 4 . . . . .	73
Rozdział 5 . . . . .	87
Rozdział 6 . . . . .	103
Rozdział 7 . . . . .	123
Rozdział 8 . . . . .	153
Rozdział 9 . . . . .	167
Rozdział 10. . . . .	173
Rozdział 11. . . . .	183
Rozdział 12. . . . .	189
Rozdział 13. . . . .	203
Rozdział 14. . . . .	213
Rozdział 15. . . . .	221
Rozdział 16. . . . .	235
Rozdział 17. . . . .	243
Rozdział 18: <i>Styczeń 1919 roku.</i> <i>Zamek w Thornhill. Glentyre, Szkocja</i> . . . . .	255
Rozdział 19. . . . .	267
Rozdział 20. . . . .	275
Rozdział 21. . . . .	293
Rozdział 22. . . . .	311
Rozdział 23. . . . .	327

Rozdział 24. . . . .	339
Rozdział 25. . . . .	353
Rozdział 26. . . . .	361
Rozdział 27. . . . .	371
Rozdział 28. . . . .	379
Rozdział 29. . . . .	385
Rozdział 30. . . . .	403
Rozdział 31. . . . .	411
Rozdział 32. . . . .	421
Rozdział 33. . . . .	431
Epilog: <i>Rok później</i> . . . . .	445
Podziękowania . . . . .	459